

Agnieszka Szygenda

kupię rękę

Agnieszka Szygenda

KUPIĘ RĘKĘ

Pamięci Pani Elżbiety Majcherczyk

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-45-3

Copyright © Agnieszka Szygenda

Projekt okładki: Marcin Labus

Foto na okładce: Vinícius Estevão, Pexels

Spis treści

Część I

Część II

Część I

„Kupię rękę”.

Ogłoszenie o takiej właśnie treści chodziło Olgierdowi po głowie już od kilku dni. Wiedział, że nic z tego nie będzie i nigdy żadna z gazet tego nie wydrukuje, lecz mimo to cieszyła go ta myśl, a właściwie krótką, zabawną treść.

„Kupię rękę”.

Pewnie nigdy by na to nie wpadł, gdyby nie przypadek. Pewnego dnia został w pracy o wiele dłużej niż zwykle. Z jednej strony przyprawiało go to o wściekłość, z drugiej – czuł mściwą satysfakcję.

Wściekłość – bo szef Olgierda, a zarazem jego teść, naprawdę mógłby sobie darować ciemnienie przyszłego następcy, wymagając od niego roboty, satysfakcję zaś – bo zużyta małżonka Olgierda mogła mieć pretensje wyłącznie do swojego ojca.

Niedobrze się stało, że przed laty Olgierd, wspaniale się zapowiadający student ekonomii, trafił na staż do tej firmy. To był pierwszy pech. Drugi nastąpił, kiedy zaproponowano mu podpisanie stałej umowy o pracę. Trzeci i największy – kiedy poznał córkę szefa i w głowie zaświtała mu myśl, że mógłby pójść przez życie na skrót.

Po co awansować w pocie czoła po latach biurowej orki, skoro można się sprężyć i skoczyć raz, a wysoko?

Nie zastanawiał się długo. To była jedna z tych okazji, które trafiają się raz w życiu. Jednego dnia śpisz na wygniecionym gąbkowym materacu w jakiejś norze, a następnego budzisz się w eleganckiej sypialni, czując delikatne sprężynowanie luksusowego materaca przy każdym ruchu twojego ciała. Właśnie ta giętkość, owa obietnica dopasowywania się do Olgierda miały być zapowiedzią całkowitej zmiany w jego życiu. Dotychczas to on się musiał naginać, szukać i kluczyć; nieoczekiwana zmiana sytuacji miała mu zapewnić komfort na dalszy ciąg życia. Pierwszym nieśmiałym krokiem były oświadczyzny, potem ślub z fanfarami i – byle wyżej, byle wyżej...

Wreszcie osiągnął maksimum swych możliwości – wyżej nie mógł już awansować. Pewnie gdyby teść w końcu odszedł na emeryturę, Olgierd mógłby spełnić swoje marzenie o zarządzaniu firmą, teść jednak miał się dobrze i nie zanosilo się na żadne zmiany.

A Olgierd nie mógł już czekać.

Miał trzydzieści siedem lat.

Nie mógł również odejść, bo to wiązałoby się z zaprzepaszczaniem całego dotychczasowego poświęcenia. Nie, na to nie mógł sobie pozwolić.

Konsultingowa firma teścia prosperowała znakomicie i Olgierd zdawał sobie sprawę, że w każdym innym tego typu biznesie mógłby być specjalistą zaledwie w jakiejś wąskiej dziedzinie; obrabiaczem małego skrawka, on zaś mierzył znacznie wyżej: chciał władzy i pieniędzy. Wąska specjalizacja jest dobra dla przeciętniaków. Olgierd miał wizję wykraczającą poza idiotyczne zakopywanie się w jednym temacie. Był pewien, że ze swoimi zdolnościami może zajść bardzo wysoko. Taki wyznaczył sobie cel. Wyprzedzić wszystkich i zostawić ich za sobą daleko w tyle. Od kiedy pojawił się, że życie wśród ludzi jest nieustanną walką przypominającą bieg przez chaszczki, postanowił biec, nie oglądając się za siebie. Przecież życie właśnie na tym polega, że albo widzi się plecy lidera, albo daje się innym oglądać swoje.

Tam, na przedzie, jest się nareszcie wolnym, jednym jedynym, niezagrożonym przez nikogo. Wypracowany dystans sprawia, że to lider decyduje, kiedy pozwoli innym zbliżyć się do siebie, określając równocześnie stopień zażyłości. Najlepiej zerowej, bo wystarczy moment nieuwagi, żeby dać się podejść zbyt blisko i spaść.

Do wyprzedzenia pozostały jeszcze tylko jedne plecy... Stare i tym bardziej denerwujące, że ciągle pełne życia i siły.

Tego dnia, kiedy Olgierd, z powodu dodatkowych obowiązków, został w pracy po godzinach, postanowił znaleźć jakieś antidotum na firmowy i domowy kierat.

Po uporaniu się ze wszystkimi zaległościami wpisał do internetowej przeglądarki hasło „nietyпова reklama”. Miał zamiar znaleźć i wprowadzić w firmie jakiś nowatorski pomysł. Chciał zabłysnąć. Niech stary zbuk podziwia kreatywność genialnego zięcia i niech spieprza na cmentarz.

Wynik wyszukiwania był zaskakujący. Wprawdzie setki linków zniechęcały do szczegółowego zagłębiania się w problem, ale Olgierd, z pozoru człowiek łagodny i spokojny, był nadzwyczaj uparty. Nie zawsze tak było. W dzieciństwie, wtłoczony w sztywne ramy obowiązków i nakazów, nie odważał się na bunt. Był po prostu przeciętny – niezbyt wyrazista twarz, krótkie włosy, średni wzrost. Zginałby w tłumie, jak ciuch wrzucony do pralki automatycznej, gdyby nie to, że zrobiono mu pranie mózgu o jeden raz za dużo.

To wtedy, mając jakieś siedemnaście lat, postanowił dać z siebie wszystko, żeby wyrwać się z szarżyny, przeciętności i odciąć od wszystkiego, co przez lata ładowano mu do głowy. Nie potrzebował przeszłości, która – zamiast pchać do przodu – ciągle zawracała go z obranej drogi, próbując zepchnąć na ścieżki deptane przez tłum. Musiał się odbić, odciąć od korzeni, rozwinąć skrzydła. To, co minęło, nie ma żadnego znaczenia. Nawet terażniejszość jest tylko stanem przejściowym, nic nieznaczącym zlepkiem czasu i przestrzeni, unicestwianym przez umykający czas. Terażniejszość powinna po prostu zwiększać komfort oczekiwania. Tylko tyle.

Bo liczy się jedynie przyszłość.

Teraz, kiedy nosił eleganckie, luksusowe koszule i garnitury wybrane przez zatrudnionego w firmie stylistę, wreszcie wyróżniał się na tle innych. Niewątpliwie bez stylisty również dalby sobie świetnie radę, ale zatrudnienie takowego mile łechtało jego próżność i pogłębiało doznania wywoływane przez dotyk markowej metki. To samo dotyczyło diety i wizażysty.

Pierwszy link, jakaś firma reklamowa – na drzewo. Na pewno nie mają do zaoferowania nic, co stałoby się pożywką dla kreatywności Olgierda. Na drugi link kliknął z niedowierzaniem.

Aukcja internetowa.

– Pewnie jakiś żul wciska naklejki reklamowe lub jakieś inne gówno – mruknął pod nosem.

„Nietyпова reklama. Jeśli wygrasz licytację, pozwolę wytatuować na swojej ręce logo twojej firmy. Nie odwołuję ofert”.

Olgierd aż podskoczył.

„Kupię rękę”.

Tak, mógłby zamieścić gdzieś takie ogłoszenie i skupować różne części ciała. Pewnie jeszcze nikt na to nie wpadł. Otworzyłyby swoją maleńką firemkę na boku. Miałby niewolników.

Nie, to bez sensu. Żadna z szanowanych firm nie pójdzie na taki rodzaj reklamy. Trzeba dać sobie spokój.

Tylko że ziarenko trafiło na podatny grunt.

Miał sen. Znowu był dzieckiem. Dzieckiem szkoły. W szkole szkoła, w domu szkoła.

W szkole rodzice niby swoi, a jednak obcy, mający w stosunku do niego takie same wymagania jak do innych dzieci.

W domu – ojciec, nauczyciel geografii, i matka polonistka. Przewrażliwieni na punkcie własnego nauczycielstwa. Oni nie chcieli mieć dziecka. Oni musieli mieć ucznia. Dzieciństwo równało się edukacji szkolnej, od której nie było ucieczki. Był to system lekcji i krótkich przerw. System odrabiania. Lekcji i zaległości. System dni wolnych i świąt. System

sprawdzianów i ocen. O ile szkołę, tę publiczną, ukończył z wyróżnieniem, o tyle w domowej nigdy nie był wystarczająco dobry. No, może „nigdy” to zbyt wielkie słowo.

Olgierd nienawidził szkoły i teraz pocił się, rzucając na łóżku, bo zapomniał przygotować odpowiednią oprawę na Dzień Nauczyciela. Nie miał ani kwiatka, ani wiersza w zanadrzu, ani laurki z życzeniami. Zdenerwowany sięgał po kolejne kredki, żeby szybko napisać życzenia, a głupie litery rozpląwały się i znikwały w powietrzu. Instynktownie czuł, że już nie zdąży. Ze za chwilę usłyszy zgrzyt klucza w zamku i ujrzy rodziców z naręczem kwiatów przyniesionych ze szkoły. Nie mógł być gorszy od innych dzieci. Przecież dokładnie wiedział, że ten dzień jest ważniejszy od ich urodzin. Bo stawia rodziców w szeregu zasłużonych dla ojczyzny. Bo można harować, zarabiając marny grosz tylko w takim zawodzie, do którego dorabia się jakąś ideologię. I że jeżeli nikt nie opłaci nauczycielskiego trudu godziwym wynagrodzeniem, to trzeba to zrobić inaczej. Tak aby ten, który pracuje za darmo, wierzył w swą misję.

Olgierd w panice szukał dobrej kredki. Już słyszał kroki na klatce schodowej. Jeszcze moment i rozlegnie się pukanie. Pukanie jest sygnałem dla niego, że za chwilę otworzą się drzwi. Z przerażeniem patrzył na pustą kartkę. Gdyby mógł gdzieś uciec, gdyby mógł się schować przed rozczarowaniem w oczach matki... Gdyby mógł nie czuć zawodu ojca...

Przywarł do drzwi obitych gąbką i lichą skórą. Zaparł się nogami, jakby w ten sposób mógł opóźnić moment wejścia rodziców do mieszkania. Z rozpaczą patrzył na pustą kartkę i przekłętą kredkę. Dziecięca rączka zacisnęła się w piąstkę. Z całej siły rzucił papierową kulkę w głąb mieszkania i zaparł się o futrynę. Ktoś pukał. Olgierd powstrzymywał się z całej siły, żeby się nie rozplakać. Płacz zabiera energię, która teraz była mu niezbędna do utrzymania zapory. Jeśli się uda, rodzice pomyślą, że zepsuł się zamek, i zjedną na dół po dozorcę. Wtedy on zyska kilka minut, żeby znaleźć dobrą kredkę.

Pukanie było coraz bardziej natarczywe. Czuł, że opada z sił i dłużej nie utrzyma prowizorycznej barykady. Coś na niego runęło...

– Tato!

W pierwszej chwili nie rozumiał, co się dzieje.

– Tato, pamiętasz, że mam niedługo urodziny?

Powoli wracała mu świadomość. Zgubiona kredka odpłynęła razem ze złym snem. Snem z przeszłości.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś nie budził ojca? – usłyszał karcący głos swojej wycieńczonej jednym porodem małżonki.

Przez te kilkadziesiąt sekund przez duszę Olgierda przetoczyła się lawina uczuć. Od ulgi po gniew, że go obudzono, i irytację, jaką budził w nim tembr głosu kobiety jego życia. Nudnego życia.

– Zostaw go – warknął, unosząc głowę z poduszki.

Syn stał przy łóżku, niepewnie przenosząc wzrok z matki na ojca.

– Co mówiłeś o tych urodzinach? – zwrócił się Olgierd do dzieciaka, przecierając oczy.

– Mam niedługo urodziny, pamiętasz?

– A czy kiedyś zapomniałem? – Głos miał schrypnięty od snu.

– Mama mówi, że masz dużo pracy i że wystarczy, jeśli wybiorę sobie prezent. A ja chciałbym pójść gdzieś z tobą w urodziny, jak chłopaki.

– Jakie chłopaki?

– No, jak Antek miał urodziny, to tata zabrał go do McDonalda. A Anielka mówiła, że tata wziął ją na karuzelę. Ja też bym tak chciał.

– McDonalda czy karuzelę? – Komórki mózgowe zaczynały pracować.

Mały chwilę się zastanawiał. W sumie karuzela mogła być większą atrakcją. McDonald to McDonald; matka często go tam zabierała bez okazji i to na pewno nie zrobi na nikim wrażenia.

– Wołałbym karuzelę – powiedział nieśmiało.

W sypialni przez chwilę panowała cisza. Teraz zastanawiał się Olgierd.

– To na pewno nie chcesz żadnego prezentu? – spytał, siadając na brzegu łóżka.

Dziecko zrozumiało, że w tym momencie musi podjąć decyzję. Pewnie fajnie byłoby dostać jeszcze jedną zabawkę. Jaka to jednak przyjemność bawić się w kółko samemu? A wyjście z tatą to byłoby coś. Coś, czego jeszcze nigdy nie przeżył. Czego nie pamiętał.

– Chcę pójść z tobą, tato.

– A widziałem fajne klocki. Nowa seria. Pewnie nikt jeszcze takich nie ma. – Olgierd chciał się trochę podroczyć. Niech gówniarz wie, że w życiu nie ma lekko. Ze zawsze jest coś za coś. Równocześnie w myślach próbował dopasować datę urodzin do konkretnego dnia tygodnia. Jak nic wypadło mu to w czwartek. Lepiej, żeby młody skusił się na zabawkę. Nie trzeba będzie wtedy wychodzić wcześniej z pracy i szwendać się po mieście.

– Mówiłam ci, że tata jest zajęty – usłyszał głos Alicji. To przeważyło. Podjął decyzję, nie czekając na odpowiedź dziecka.

– Widziałem te klocki, ale jestem pewny, że mogą poczekać do następnej okazji. To co, jesteśmy umówieni na wspólne wyjście? – Wstał już i wyjmował z szafy ubrania. Coś przywarło mu do nogi. Niewiele brakowało, a straciłby równowagę i runął jak długi. Już, już miał rzucić jakieś przekleństwo i nakrzyczeć na dzieciaka, ale spostrzegł uchylone drzwi. Nie da jej tej satysfakcji.

– No dobra. Puść mnie już, bo spóźnię się do pracy. Zresztą ty też wołaj matkę i niech cię wiezie do przedszkola.

– Dziękuję, tatusiu. – Dziecko zwolniło uścisk i Olgierd mógł swobodnie ruszyć do łazienki.

– W końcu to twoje urodziny – powiedział, zamykając drzwi. – Szóste. – I dodał w duchu: – Sześć lat temu miałem jeszcze plany i nadzieje. A teraz zostały mi tylko McDonaldy i karuzele.

Iga siedziała przy kuchennym stole i co chwila spoglądała na zegarek. Mariusz już dawno powinien być w domu. Co prawda trudno nazwać domem małą wynajętą kłitkę o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, ale lepsze to niż pokój w akademiku dzielony z kilkoma osobami tej samej płci i przepychanki do wspólnej kuchni i toalety. Tym bardziej że Idze zostało zaledwie kilka miesięcy do otrzymania wymarzonego tytułu magistra kulturoznawstwa. Musiała się tylko skupić na skończeniu pracy magisterskiej i egzaminie.

Z tym ostatnim nie powinno być problemu – przez lata studiów przygotowywała się do zajęć bardzo gorliwie. Nie mogła sobie pozwolić na utratę stypendium. Z Mariuszem znali się od dziecka. Spotykali się już w piaskownicy, nie wspominając o ulicach małego miasteczka, w którym się urodzili i wychowywali. Była świadkiem, jak z nieco puciołowatego chłopczyka wyrasta na wysokiego i przystojnego mężczyznę. Czarne, kręcone włosy, w latach szkolnych spływające niedbale do ramion, teraz nosił przycięte przez dobrego fryzjera. Lubiała zanurzać w nich dłonie. Aż dziw, że Mariusz, mający spore powodzenie u dziewcząt, wybrał właśnie ją na towarzyszkę swojego życia. Miał w sobie to „coś”, na co składało się poczucie humoru, niespotykana pewność siebie, a może też blask płynący z orzechowych oczu. Nigdy nie ośmieliłaby się wziąć udziału w wyścigu o jego względy. Może właśnie dlatego ją zauważył. Po kilku latach szkolnej miłości, za zgodą rodziców i z nieco wymuszonym błogosławieństwem starszyny, zamieszkali razem w dużym mieście. Dzięki temu Iga miała łatwiejszy start. Kiedy przyjechała do Warszawy, Mariusz już tu był. Trzy lata starszy, to on przetańczył jej szlaki. Studia informatyczne ukończył w pierwszym terminie, co

napawało go dumą, gdyż od razu mógł rozpocząć upragnioną pracę. Zajmował się administrowaniem siecią komputerową w jednej z zachodnich firm. Lubił ją. To znaczy lubił swoją pracę. Igę pewnie też; przecież nie można kogoś kochać, równocześnie go nie lubiąc. A Mariusz od czasu do czasu powtarzał wyznanie miłości. Może nie było w tym już takiego entuzjazmu i żaru jak przed laty, ale przyparty do muru wiedział, jak wzbudzić w sobie egzaltację i zaspokoić uczuciowe potrzeby narzeczonej. To drobne wyznanie było niewielką ceną za władzę. Wiedział, że mu się należy, ale jak każdy mądry władca miał świadomość, że poddanych nie można ciemiężyć bez konsekwencji. To mogło doprowadzić do buntu albo krwawej rewolucji. Nie potrzebował w domu barykad ani rozlewu krwi. Był przecież mądrym królem. Poddanych trzeba czasem pogłaskać, nie zaszkodzi również szepnąć im na ucho paru ciepłych słów. Wtedy ma się pewność, że poddany dla własnego dobra pozwoli sobą kierować. Z tej prostej przyczyny, że to król jest najmądrzejszy na świecie i wie, co jest najlepsze dla innych.

Iga czekała więc na króla, choć nie miała pojęcia, że jest poddaną. Właściwie jedyną poddaną. Co prawda, Mariusz lubił mieć zawsze ostatnie słowo i często mu ustępowała, ale taki zdecydowany i kochający mężczyzna to skarb. A w końcu wszystko i tak robił dla ich wspólnego dobra. Lada miesiąc mieli przecież wziąć ślub i zacząć płodzić dzieci.

Tymczasem ukochany nie wracał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI